



Hans Christian Andersen

Utwory



NEXTO - KLASYKA LITERATURY

Bałwan ze śniegu

— Jakież ten mróz jest wspaniały! – powiedział bałwan ze śniegu.

— A jakie „to” w górze jest rozżarzone! – miał na myśli słońce.

— Nie zmusi mnie do mrugania, będę mocno zaciskał moje skorupki śniegu. Zamiast oczu miał dwa duże, trójkątne kawałki dachówek, usta miał zrobione z kawałka starych grabi, posiadał więc i zęby. Przyszedł na świat wśród radosnych okrzyków dzieci, powitany brzęczeniem dzwoneczków sanek i strzelaniem z bicia. Słońce zaszło, wszedł księżyc w pełni, okrągły i wielki, jasny i piękny w błękitnym powietrzu.

— Gdybym tylko wiedział jak ruszyć się z miejsca. Gdybym to potrafił, poszedłbym teraz poślizgać się po lodzie, widziałem jak to robili chłopcy. Ale nie potrafię biegać.

— Precz, precz! – zaszczekał stary pies podwórzowy, który był trochę zachrypnięty. Miał chrypę od czasu, gdy przestał być pokojowym pieskiem i już nie leżał pod piecem. – Słońce nauczy cię biegać. Widziałem co się działo zeszłego roku z twymi poprzednikami, a dawniej z ich poprzednikami. Wszyscy oni poszli sobie precz.

Pogoda się zmieniła. Nad ranem gęsta, wilgotna mgła pokryła całą okolicę. Kiedy dniało, zawiął wiatr, wziął ostry mróz. I cóż to za widok ukazał się gdy weszło słońce! Wszystkie drzewa i krzaki stały w szronie. Wyglądało to jak las z białego koralu, wszystkie gałęzie były białe jakby obsypane białym kwieciem. A kiedy zaświeciło słońce, wszystko zabłysło jak pokryte diamentowym pyłem. Wydawało się, że płoną tam niezliczone małe światełka, jeszcze bielsze od białego śniegu.

— Jakie to cudownie piękne – powiedziała młoda dziewczyna, która weszła z młodzieńcem do ogrodu. Stanęli tuż koło bałwana i oglądali błyszczące drzewa. – Nawet w lecie nie ma takiego widoku.

— A takiego jegomościa jak ten nie ma wcale w lecie – dodał młodzieniec i wskazał na bałwana. – Jest wspaniały. Dziewczyna zaśmiała się, kiwnęła głową bałwanowi i tańczyła ze swym przyjacielem po śniegu, który skrzypiał im pod nogami.

— Kto to byli ci dwoje? – spytał bałwan psa.

— To państwo – odrzekł pies. Kiedy się dopiero wczoraj przyszło na świat, wie się doprawdy nie wiele, widzę to po tobie. Ja jestem stary i doświadczony, znam tu wszystkich w obejściu, a były czasy, kiedy nie stałem tu na zimnie, przywiązany na łańcuchu. Kiedy byłem młodym pieskiem, oni mówili, że małym i ślicznym, wówczas leżałem w pokoju na pluszowym fotelu, spoczywałem na kolanach pana i pani, całowano mnie w pyszczek i wycierano mi łapki haftowaną chusteczką. Nazywano mnie wtedy „najpiękniejszym piesiem”. Ale potem stałem się dla nich za duży i podarowali mnie gospodyni. Powędrowałem więc do sutereny. Było tam wprawdzie skromniej, ale przytulniej. Dzieci nie ciągnęły mnie za ogon i nie drażniły jak tam na górze. Karmili mnie równie dobrze. Miałem własną poduszkę i był tam również piec, a o tej porze roku to najmiłsza rzecz na świecie, Właziłem pod piec, tak że znikąłem pod nim. Często jeszcze śnię o piecu.

— Czy piec wygląda podobnie do mnie, czy jest taki piękny jak ja? – zapytał bałwan ze śniegu – Wygląda zupełnie jak twoje przeciwieństwo. Jest czarny jak węgiel, ma długą szyję i mosiężną trąbę. Pożera drzewo, aż ogień bucha mu z ust. Trzeba trzymać się jego boku, tuż koło niego lub pod nim, to niezwykła przyjemność. Możesz go zobaczyć z miejsca w którym stoisz.

— Bałwan ze śniegu zajrzał w okno sutereny i zobaczył rzeczywiście czarny, polerowany przedmiot z mosiężną rurą. Ogień błyszczał w dole. Bałwan miał dziwne uczucie, z którego sam nie zdawał sobie dobrze sprawy. Ogarnęło go coś takiego co znają wszyscy ludzie, o ile nie są bałwanami ze śniegu.

— I dlaczego go opuściłeś? – spytał bałwan. – Jak mogłeś opuścić takie miejsce?

— Musiałem – odpowiedział pies – wyrzucili mnie i przywiązali do łańcucha. Ugryzłem służącego w nogę, bo zabrał mi kość. Kość za kość, myślałem sobie. Ale oni wzięli mi to za złe i od tego czasu przymocowano mnie do łańcucha.

Bałwan ze śniegu nie słuchał już więcej, patrzył tylko nieustannie w okno sutereny do gospodyni, patrzył w głąb pokoju, gdzie stał piec na swych czterech żelaznych nogach i był tej samej wielkości co bałwan ze śniegu.

— Coś tak dziwnie we mnie trzeszczy – powiedział bałwan. – Czyż nigdy się tam nie dostanę. Przecież to niewinne życzenie, a nasze niewinne życzenia spełniają się zazwyczaj. Jest to moje najskrytsze życzenie, moje jedyne życzenie. Byłoby niesprawiedliwie gdyby się nie spełniło. Muszę się tam dostać, muszę się do niego przytulić, nawet gdybym miał stłuc szybę w oknie.

— Nigdy się tam nie dostaniesz – powiedział pies. – A kiedy zbliżysz się do pieca, pójdiesz precz.

— I tak mnie już prawie nie ma – odrzekł bałwan. Wydaje mi się, że się rozpadam.

Przez cały dzień bałwan ze śniegu stał i patrzył w okno. O zmierzchu pokój wyglądał jeszcze bardziej zachęcająco. Z pieca rozchodził się taki miły blask, księżyc ani słońce nie potrafią tak błyszczeć jak piec, kiedy pali się ogień w jego wnętrzu. Noc była bardzo długa, ale bałwanowi wydawała się krótka. Śnił mu się piec. Rano okna sutereny zamarzyły, ukazały się na nich najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko bałwan ze śniegu mógł sobie wymarzyć, ale zasłoniły mu widok pieca. Był

mróz wymarzony dla bałwana ze śniegu, ale on nie był szczęśliwy, bo tęsknił do pieca.

— To ciężka choroba dla bałwana ze śniegu taka miłość do pieca – powiedział pies. – I ja niegdyś cierpiałem na tą chorobę, ale przemogłem ją. Czuję, że teraz pogoda się zmieni.

I pogoda rzeczywiście się zmieniła. Rozpoczęła się odwilż. Odwilż zwiększała się, a bałwan się zmniejszał. Nic nie mówił, nie skarżył się, a to już zły znak.

Pewnego ranka rozpadł się. Z tego miejsca, gdzie stał, wystawało coś, co przypominało kij do miotły. Chłopcy ulepili bałwana na tym kiju.

— Teraz rozumiem jego tęsknotę – powiedział pies łańcuchowy. – Bałwan miał w ciele pogrzebacz!

Co ojciec czyni, jest zawsze słuszne

Kiedy byłem dzieckiem, często opowiadano mi tę historyjkę i za każdym razem wydawała mi się piękniejsza. Brzmi ona tak:

W pewnej wsi żyło sobie małżeństwo. Oboje byli już starzy i wcale im się nie przelewało. Mieli konia, który pasał się w przydrożnych rowach. Gospodarz jeździł na nim albo wypożyczał go sąsiadom do pracy. Mimo to doszedł kiedyś razem z żoną do przekonania, że można by za tego konia dostać coś użyteczniejszego w gospodarstwie. Nie wiedzieli tylko, co to mogłoby być. – Mój drogi – rzekła gospodyni – Ty już to najlepiej załatwisz! Niedaleko jest jarmark, jedź tam i sprzedaj konia lub zamień go na coś innego. Co uczynisz, będzie zawsze słuszne. Mówię ci, jedź na jarmark.

Zawiązała mu chustkę na szyi, wygładziła kapelusz, ucałowała na drogę, a on dosiadł konia i pojechał.

Po drodze spotkał znajomego, który pędził na jarmark krowę.

— Można by zamienić konia na tę krowę! – pomyślał sobie – Cóż za rozkosz mieć własne mleko, ser, śmietanę i masło!

Zbliżył się doń i rzekł:

— Kochany sąsiedzie! Koń kosztuje więcej niż krowa, ale wolę krowę, bo da mi to, czego właśnie potrzebuję. Zamienmy się!

— Zgoda! – odrzekł sąsiad – i zaraz dokonali zamiany.

Gospodarz w zasadzie mógł już wracać do domu, ale chciał zwiedzić targ i popatrzeć na ludzi. Poszedł więc dalej i spotkał chłopą pędzącego owcę. Była okazała i miała dużo wełny.

— Chciałbym mieć taką owcę! – pomyślał sobie – Nie potrzebuje wiele trawy, a na zimę można ją wziąć do izby. Jest dla nas lepsza niż krowa!

Właściciel owcy zgodził się ochoczo na zamianę i gospodarz popędził ją na jarmark.

Niedługo potem zobaczył chłopą niosącego pod pachą tłustą gęś.

— Aj, do licha! – zawołał gospodarz – To mi gaska co się zowie. Ileż na niej smalcu, ile pierza. Jakże pięknie pływałaby po naszym stawiku. Tyle razy moja żona marzyła o gąsce. Teraz będzie ją miała!

W mieście ścisk panował wielki. Pod jakimś płotem zobaczył nasz gospodarz piękną kurę. Przyszło mu na myśl, że nawet więcej warta od kur proboszcza. Kura żywi się zresztą sama, nie przyczynia wydatków, a daje wyborne jaja. Nowy interes został zawarty niezwłocznie. Gospodarz napracował się tyle podczas drogi, że poczuł nagle głód. Wstąpił do karczmy. A tam na samy progu spotkał człowieka z ogromnym worem na plecach.

— Cóż to macie? – spytał go.

— Zgniłe jabłka dla świń. Pełny wór!

— To mnóstwo dobrego towaru! – pomyślał gospodarz.

— Co mi dacie gospodarzu za te jabłka? – spytał nieznajomy.

— A tę oto kurę.

Gospodarz wniósł wór do szynku i oparł o piec nie pomyślawszy, że w nim mocno napalono. W izbie pełno było handlarzy koni i wołów. Było tam też dwu Anglików, a Anglicy – wiadomo – lubią się zakładać. Nagle wszyscy poczuli odór piekących się zgniłych jabłek.

— Cóż to jest?! – wykrzyknęli i niebawem dowiedzieli się całej historii zamian.

— Ano dostaniecie, panie gospodarzu, kilka porządných szturchańców od żony! – rzekli Anglicy.

— Dostanę od żony pocałunki, a nie szturchańce!

— Założmy się! Damy ci worek dukatów, jeśli wygrasz!

— Zgoda – powiedział chłop i zakład stanął.

Włożyli worek na wózek karczmarza, potem sami na niego wsiedli i niedługo dotarli na miejsce.

— Dobry wieczór! – rzekł gospodarz do żony.

— Dziękuję ci mój drogi za dobre słowo – odparła.

— Zamieniłem naszego konia!

— Majster z ciebie, jak zawsze! – odrzekła obejmując go.

— Dostałem za niego krowę.

— Dzięki Bogu! Będziemy mieli teraz mleko, masło i ser! Wyśmienicie zrobiłeś!

— Ale zamieniłem ją potem na owcę.

— Wiesz co, to nawet lepiej. – powiedziała – Zawsze działasz z rozważą. Dla owcy wystarczy nam trawy. No i oprócz mleka i sera będziemy mieli wełnę na ubranie. Bardzo dobrze postąpiłeś!

— Potem zamieniłem owcę na gęś.

— Co? A to będziemy mieli na święta smaczną gąskę! Jak to dobrze. A do tego pierze i smalec. Bardzo jestem rada!

— Oddałem tę gęś za kurę!

— Dobra to zamiana. Kura znosi jaja i wysiaduje kurczęta. Będziemy mieli drobiu co niemiara. Zawsze o tym marzyłam!

— Na koniec zamieniłem kurę na worek zgniłych jabłek. – oświadczył gospodarz.

— Dajże mi całusa! – zawołała radośnie – Doskonale się składa. Przed chwilą sąsiadka mi powiedziała, że nasz sad nic niewart, bo nie daje ani jednego zgniłego jabłka. Teraz pokażę jej cały worek! – to rzekłszy pocałowała męża w same usta.

— Podoba mi się to! – zauważył jeden z Anglików – Mimo strat bardzo tu wesoło. Warto zapłacić takim ludziom!

Dobyl worek ze złotem i wręczył go gospodarzowi.

Słyszałem tę historyjkę, jak jeszcze byłem dzieckiem i opowiadam ją Wam, żebyście pamiętali:

CO OJCIEC CZYNI, JEST ZAWSZE SŁUSZNE I NA DOBRE WYCHODZI!

Dziewczyna, która podeptała chleb

Była ubogim, ale dumnym i pysznym dzieckiem, była zła z natury, jak to powiadają. Gdy była zupełnie mała, największą przyjemność sprawiało jej chwytanie much i wyrywanie im skrzydełek, przez co przemieniały się w stworzenia pełzające. Chrabąszcz i żuki przekłuwała szpilką, podkładała im pod łapki zielony listek lub kawałek papieru i biedne stworzenie trzymało mocno w łapkach ów skrawek i obracało nim w kółko, aby uwolnić się od szpilki.

— Chrabąszcz czyta! – mówiła mała Inger – Patrzcie no, jak obraca listek! W miarę jak rosła, stawała się gorsza, nie lepsza. Była ładna i to stało się jej nieszczęściem, inaczej świat byłby dla niej surowszy i nie wydarzyłoby się to, o czym będzie mowa.

— Należy ci dobrze zmyć głowę – mówiła do niej własna matka – Jako dziecko przydeptywałaś mi często fartuch, obawiam się, że jak urośniesz, podepczesz mi serce.

I tak też się stało.

Pojechała na wieś na służbę do zamożnych ludzi, którzy traktowali ją jak własne dziecko. Chodziła pięknie ubrana, wyglądała ładnie i pycha wzrastała w jej sercu.

Po roku ludzie, u których służyła, powiedzieli do niej:

— Musisz przecież wreszcie odwiedzić swoich rodziców, droga Inger.

Wybrała się w drogę, ale tylko po to, aby się pokazać w swoich strojach. Gdy doszła do wsi, zobaczyła parobków i dziewczyny stojących nad jeziorem i rozmawiających z ożywieniem, a tuż obok siedziała na kamieniu jej staruszka matka i odpoczywała. Była właśnie w lesie i zebrała wiązkę chrustu. Wtedy Inger zawróciła i odeszła. Wstydziła się, że ona, tak pięknie ubrana, ma matkę w łachmanach, która zbiera chrust. Nie robiła sobie żadnych wyrzutów z tego powodu, że zawróciła, była tylko zła.

Znowu upłynęło pół roku.

— Powinnaś kiedyś pójść do domu i odwiedzić swoich starych rodziców, moja droga Inger – powiedziała pani – Masz tu duży bochenek pszennego chleba, weź go ze sobą, rodzice ucieszą się, gdy cię zobaczą. Inger włożyła swoją najlepszą suknię i swoje nowe buty i szła ostrożnie, aby nie zabrudzić nóg. Gdy doszła do miejsca,

gdzie droga prowadziła przez bagnisko, i gdzie rozlała się woda i błoto na dużej przestrzeni, rzuciła na ziemię bochenek chleba, aby stanąć na nim i przejść suchą nogą. Gdy postawiła jedną nogę na bochenku, a drugą uniosła do góry, chleb zaczął się coraz głębiej i głębiej pograżać i dziewczyna zniknęła zupełnie. Widać było tylko wielką czarną kałużę, a na niej rozpryskujące się pęcherzyki. Oto jest całe opowiadanie.

Ale co się stało z Inger?

Dostała się do błotnej wiedźmy, która warzy piwo. Błotna wiedźma jest ciotką elfów, które są przecież dobrze znane. Napisano o nich wiele pieśni i malowano je nieraz, ale o błotnej wiedźmie wiedzą ludzie tylko tyle, że gdy w lecie parują łąki, to ona warzy piwo. Inger spadła właśnie do jej browaru, a długo tam nie można wytrzymać. Śmietnik jest w porównaniu z browarem błotnej wiedźmy jasną, wspaniałą komnatą. Każde naczynie cuchnie tam tak, że wszyscy ludzie mdleją i w dodatku wszystkie te naczynia stoją ciasno jedno obok drugiego, a jeżeli jest nawet pomiędzy nimi jakiś mały otvorek, przez który się można przecisnąć, przeszkadzają pełzające dookoła tłuste węże i mokre ropuchy. Tu właśnie znalazła się Inger. Te ohydne, żywe gady były tak lodowato zimne, że dziewczyna drżała na całym ciele i kostniała coraz bardziej. Przyrosła mocno do bochenka chleba, który ją przyciągał tak, jak bursztyn przyciąga żdźbło słomy.

Wiedźma była w domu a tego dnia miał zwiedzić browar diabeł i jego babka, stara jędza, która zawsze jest zajęta. Nie wychodzi nigdy bez swojej ręcznej robótki i tutaj także za- brała ją ze sobą. Szyła dla ludzi niepokoję, kładła im do butów, aby nigdy nie zaznali spokoju. Haftowała kłamstwa i robiła szydełkiem nierozważne słowa, które padały na ziemię. Czyniła to po to, aby szkodzić i niszczyć. Zobaczyła Inger, włożyła na nos okulary i obejrzała ją jeszcze raz.

— Ta dziewczyna jest bardzo obiecująca – powiedziała – wezmę ją sobie na pamiątkę tych odwiedzin. Mogłaby być figurą w przedpokoju mego praprawnuka. I tak się mała Inger dostała do piekła. Nie każdy dostaje się tam prostą drogą, czasami można trafić i objazdem, o ile ma się po temu zdolności! Był to wielki przedpokój ciągnący się w nieskończoność. Kręciło się w głowie, gdy się patrzyło w przód lub w tył. Stała tu gromada łaknących, którzy czekali aż otworzą się wrota łaski – mogli długo czekać. Wielkie dziwne, kołyszące się pająki przędły łapami tysiącletnie pajęczyny. Pajęczyny te oplątywały nogi jak sieci i trzymały w uwięzi jak miedziane kajdany, a oprócz tego każdą duszę nurtował niepokój, męczący niepokój. Skąpiec zapomniał klucza do kasy, a wiedział, że klucz tkwił w zamku... Ale zbyt daleko zaprowadziłyby nas opisy wszystkich męczarni i tortur, jakich tu ludzie doświadczali. Inger męczyło strasznie, że musi stać tu jako figura. Stopy jej nadal przywierały do bochenka chleba.

— Tak to jest, kiedy się chce mieć czyste nogi – mówiła sama do siebie – Jak to się na mnie gapią!

Rzeczywiście, wszyscy patrzyli na nią. Ich złe myśli błyszczały w oczach i wychodziły bezdźwięcznie z ich warg, straszno było patrzeć. „Na mnie jest przynajmniej miło patrzeć – myślała mała Inger – mam ładną twarz i ładną sukienkę. Przewracała oczami, aby spojrzeć na siebie, miała zbyt sztywny kark i nie

mogła odwrócić głowę. Jakże zabrudziła się w browarze błotnej wiedźmy! Wcale o tym nie pomyślała, suknie jej były oblepione, jak gdyby jedną gęstą warstwą mułu. Wąż wplątał się jej we włosy i objął się o plecy a z każdej fałdy ubrania wyglądała ropucha, szczekająca jak astmatyczny mops. Byaniao to bardzo przykre.

— Wszyscy inni wyglądają także strasznie – pocieszała się Inger.

Najbardziej ze wszystkich męczył ją głód. Czyż nie mogła schylić się i ułamać kawałek chleba, na którym stała? Nie, plecy miała sztywne, ramiona i dłonie sztywne, całe ciało było jak kamienny posąg. Jedynie oczami mogła poruszać w ten sposób, że widziała nawet to, co się znajdowało za nią. Był to wstrętny widok. A potem przyleciały muchy i włożyły jej do oczu. Mrugała oczami, ale to nic nie pomagało, muchy nie wyfruwały, nie mogły się stamtąd wydostać. Miały wyrwane skrzydełka i przemieniały się w pełzające stworzenia – była to niewypowiedziana męka. Czuła tak straszny głód, jak gdyby wnętrzności jej same się pożerały a w sobie czuła pustkę, przeraźliwą pustkę.

— Jeżeli tak dłużej potrwa, nie wytrzymam – mówiła. Ale musiała wytrzymać, a trwało to bez końca.

Nagle spadła na jej głowę paląca łza, potoczyła się po jej twarzy i piersi i spoczęła na chlebie, a za nią upadła druga, upadło wiele kropel. Któż to płakał nad małą Inger? Miała przecież matkę na ziemi. Łzy smutku, które matka wylewała nad dzieckiem, docierają do niego, ale nie wyzwalają, tylko palą, tylko powiększają jego mękę. A przy tym ten nieludzki głód i to, że nie mogła ułamać chleba, który podeptała. W końcu miała takie uczucie, jak gdyby wszystko w jej wnętrzu zostało pożarte, była jak cienka, pusta trzcina, która wchłania w siebie każdy dźwięk. Słyszała zupełnie wyraźnie wszystko, co mówiono o niej na ziemi a było to złe i bolesne. Matki płacz był wprowadzić głęboki i smutny, ale mówiła ona:

— Pycha wiedzie do upadku. To stało się twym nieszczęściem, Inger. Jakże zasmuciłaś matkę!

Matka jej i wszyscy inni na ziemi wiedzieli o jej grzechu, wiedzieli, że podeptała chleb, wpadła w grzęzawisko i zniknęła. Pastuch, który pał krowy, opowiedział o tym, gdyż wszystko widział ze wzgórza.

— Jakże zasmuciłaś twą matkę, Inger! – powiedziała matka

— Widzisz, zawsze mówiłam, że tak się skończy!

„Obym się była nigdy nie narodziła – myślała Inger – byłoby to dla mnie o wiele lepiej. Teraz na nic się to przyda, że moja matka płacze”. Słyszała, jak jej chlebobdawcy, dobrzy ludzie, którzy traktowali ją jak własne dziecko, mówili:

— Była grzesznym dzieckiem, nie uszanowała bożych darów, podeptała je nogami. Wrota łaski długo jeszcze się dla niej nie otworzą.

„Mogli mnie przecież krócej trzymać – myślała Inger – mogli mi wypędzić muchy z nosa, jeżeli je miałam”.

Słyszała, że ułożono o niej całą piosenkę:

„Pyszałkowata dziewczyna, co podeptała chleb, aby nie zabrudzić bucików”.

W całym kraju śpiewano tę piosenkę.

„Ileż to się trzeba nasłuchać i nacierpieć – myślała Inger – Inni powinni być także ukarani za swoje grzechy. Zbyt wielu jest ludzi, których należy ukarać. Ach, jakże ja cierpię!”

Jej uczucia stały się jeszcze twardsze niż jej ciało.

„Tu, na dole, w takim towarzystwie nie można stać się lepszą. I wcale nie pragnę być lepszą. Jakże się oni wszyscy na mnie gapią!”

Serce jej pełne było złości i gniewu do wszystkich ludzi.

„Teraz mają co opowiadać tam na górze. Ach, jakże się męczę!”

Słyszała, jak opowiadano o niej dzieciom, które ją nazywały „bezbożną Inger”. Mówiono o niej, że była szkaradna, wstrętna i że powinna być porządnie ukarana. Z ust dziecięcych wychodziły jedynie twarde słowa. Ale pewnego dnia, kiedy męki i głód nękały wydrążoną skorupę jej ciała, posłyszała, jak mówiono o niej i opowiadano jej dzieje niewinnemu dziecku, małej dziewczynce, która, usłyszawszy opowieść o próżnej Inger, wybuchnęła płaczem.

— Czy nigdy już nie wydobędzie się stamtąd? – spytała dziewczynka.

A odpowiedź brzmiała:

— Nie, nigdy.

— Ale jeżeli przeprosi i nigdy już tego więcej nie zrobi?

— Ona nie chce prosić o przebaczenie – odpowiedziano dziecku.

— Tak bym chciała, aby przeprosiła – powiedziała dziewczynka i była niepocieszona – Oddałabym jej moje zabawki za to, by powróciła. Tak mi żal tej biednej Inger.

Słowa te przeniknęły do serca Inger i natychmiast przyniosły ulgę. Po raz pierwszy nazwał ją ktoś „biedną Inger” i nic nie dodał o jej grzechach. Małe, niewinne dziecko płakało i prosiło o przebaczenie dla niej; było to takie dziwne, że chętnie sama by zapłakała, ale nie mogła płakać i to także było męką.

Podczas, gdy tam na górze upływały lata, tu na dole nic się nie zmieniło. Coraz rzadziej dochodziły ją z góry dźwięki, coraz mniej o niej mówiono. Nagle usłyszała westchnienie:

„Inger, Inger. Jakże mnie zasmuciłaś! Zawsze mówiłam, że tak będzie!”

To zmarła jej matka.

Od czasu do czasu słyszała swoje imię, które wymawiali jej dawni chlebobawcy, a najłagodniejsze słowa, jakie wypowiedziała jej pani, były:

— Czy cię kiedy zobaczę, Inger? Nigdy nie wiadomo, gdzie znajdziemy się w przyszłym życiu.

Ale Inger wiedziała, że jej dobra pani nigdy nie będzie przebywała tam, gdzie ona.

Znowu przyszedł długie, gorzkie lata.

Raz usłyszała Inger swoje imię i zobaczyła nad sobą jakby dwie błyszczące gwiazdy. To było dwoje łagodnych oczu, które zamknęły się na ziemi. Tyle lat już upłynęło od tego czasu, gdy mała dziewczynka płakała niepocieszona nad „biedną Inger”, że z dziecka stała się staruszką i Bóg wezwał ją do siebie. Właśnie w tej chwili, gdy przebiegała myślą całe życie, przypomniało jej się, jak gorzko płakała

jako małe dziecko słysząc historię Inger. Tamte czasy i tamto wrażenie ożyło w jej duszy w chwili śmierci i zawołała:

— Panie Boże mój, może i ja, tak jak Inger, deptałam Twoje dary, nie myśląc, że czynię coś złego, może i ja byłam za życia dumna. Ale Ty w Twojej łasce nie pozwoliłeś mi się pogрузić, podtrzymywałeś mnie. A teraz w ostatniej godzinie nie cofaj Twej ręki.

Oczy staruszki zamknęły się, a wtedy otwarły się oczy jej duszy na rzeczy ukryte, a ponieważ ostatnie jej myśli były przy Inger, zobaczyła ją i cały jej upadek i ta pobożna dusza wybuchnęła płaczem. Tak jak niegdyś, jak dziecko, stała w Królestwie Niebieskim i płakała nad biedną Inger. Łzy i modlitwy odbijały się echem o wydrążoną, pustą skorupę, w której tliła uwięziona i umęczona dusza. Zwyciężyła ją nigdy nie przeczuwana miłość, która spłynęła na nią z góry, anioł boży zapłakał nad nią. Dlaczego została zesłana jej łaska? Umęczona dusza zbierała w myśli każdy uczynek popełniony na ziemi i rozpłakała się tak, jak Inger nigdy płakać nie mogła. Przepęłniła ją rozpacz nad sobą, wydawało jej się, że nigdy nie otworzą się wrota łaski. Ale gdy ogarnęła ją skrucha, w otchłani zabłysł ku niej promyk: błysnął on z większą siłą niż promień słońca, który roztopia figury ze śniegu ulepione przez chłopców na podwórku i o wiele szybciej od płatka śniegu spadającego na miękkie usta dziecięce i roztopiającego się w kroplę wody. Skamieniała postać Inger rozwiała się w mgłę i przemieniła w maleńkiego ptaszka, który wzniósł się lotem w górę, w świat ludzi, i wyżej, do Boga.

Dzień sądu ostatecznego

Najświętszym dniem ze wszystkich dni w życiu jest dzień naszej śmierci, jest to dzień sądny, wielki dzień przemiany. Czy myślałeś już kiedyś poważnie o tej potężnej, mądrej, ostatekniej godzinie na ziemi?

Był sobie raz człowiek bardzo wierzący, jak mówiono, bojownik o słowo, które mu było prawem, gorliwy sługa surowego Boga. Nad łóżkiem jego stała Śmierć o surowym i nie biańskim obliczu.

— Nadeszła godzina, musisz iść ze mną! – powiedziała Śmierć i dotknęła lodowatymi palcami jego nóg, tak, że zdrętwiały. Śmierć dotknęła jego czoła, potem serca, które pękło. I dusza poszła za Aniołem Śmierci.

Ale w ciągu tych niewielu sekund, które minęły pomiędzy dotknięciem jego nóg, czoła i serca, spłynęło na umierającego, jak fala morza, wszystko to, co mu życie przyniosło i co w nim wzbudziło. Jednym spojrzeniem ogarnia się wówczas zawrotne głębie, jedną błyskawicą myśli przebiega się niezmierzoną drogę. Jednym spojrzeniem zbiera się sumę niezliczonych gwiazd na niebie, poznaje się kulę ziemską i planety w nieogarnionym wszechświecie. W takiej chwili drży lękliwy grzesznik, nie ma podpory dla siebie i jest mu tak, jakby zapadał się w nieskończoną pustkę. Pobożny wznosi swą głowę ku Bogu i oddaje mu się jak dziecko w słowach: „Niech się dzieje wola Twoja!” Ale ten konający nie miał nic z dziecka, czuł, że jest mężczyzną. Nie drżał jak grzesznik, gdyż wiedział, że był naprawdę wierzącym. Trzymał się z całą surowością przepisów religii. Wiedział, że miliony muszą kroczyć szeroką drogą ku potępieniu. Mógłby niszczyć ich ciała ogniem i mieczem, aby były tak samo zniszczone jak ich dusze. Jego droga wiodła teraz do nieba, gdzie łaska otwierała mu furtkę – obiecana łaska. Dusza poszła więc z aniołem śmierci, ale raz jeszcze spojrzała na łożo, gdzie spowity w białe prześcieradło leżał obraz z prochu, obce odbicie jego Ja. A potem poleciała.

Lecieli i szli. Znaleźli się jakby w olbrzymiej sali, a jednocześnie niby w lesie. Przyroda była ostrzyżona, uporządkowana, powiększona i uszeregowana w zaplanowany sposób. Panowała tu sztuka jak w staroświeckich francuskich ogrodach – była to maskarada.

— To jest życie ludzkie – powiedział Anioł Śmierci. Wszystkie postacie były mniej lub więcej zamaskowane. Nie wszyscy przybrani w aksamit i złoto byli najpotężniejsi; nie wszyscy, którzy nosili szaty ubóstwa, byli najniżsi i najmniej ważni. Była to przedziwna maskarada, a najdziwniejsze było, że każdy ukrywał coś w fałdach sukni. Ale jeden drugiemu zaglądał w fałdy i wtedy widać było wyłaniające się spomiędzy nich zwierzęce łby. Jeden miał głowę wykrzywionej małpy, inny obrzydliwego kozła, śliskiego węża lub śniętej ryby.

Były to zwierzęta, które my wszyscy nosimy w sobie. Zwierzęta zrośnięte z nami; skakały i chciały się wydostać. Każdy przytrzymywał mocno zwierzę pod ubraniem, ale byli tacy, co darli suknie na innych i krzyczeli:

— Patrzcie, patrzcie, tak wygląda on, tak wygląda ona! – i jeden obnażał nędzę drugiego.

— A jakie zwierzę było we mnie? – spytała wędrująca dusza. Anioł Śmierci wskazał mu dumną postać, która miała naokoło głowy różnobarwną aureolę połyskującą jaskrawymi kolorami, ale w sercu tego człowieka ukryte były nogi zwierzęcia, nogi ptaka. Aureola nad jego głową była barwnym ogonem pawia. A kiedy powędrowali dalej, wielkie ptaki krzyczały szkaradnie z gałęzi drzew, krzyczały wyraźnymi ludzkimi głosami:

— Czy pamiętasz mnie, ty wędrowniku śmierci? – były to wszystkie złe myśli i pożądania jego życia, które do niego wołały: – Czy pamiętasz mnie? I przez chwilę dreszcz przeniknął duszę, bo dusza знаła te głosy i złe myśli i pożądania, które wystąpiły teraz jako świadkowie.

— W naszym ciele, w naszych złych skłonnościach nie ma nic dobrego – powiedział zmarły – ale moje myśli nie prze- mieniły się w czyny, świat nie oglądał złych plonów – I pośpieszył jeszcze szybciej, aby oddalić się od wstrętnych okrzyków. Ale wielkie, czarne ptaki otoczyły go i krzyczały tak, jak gdyby cały świat miał się o tym dowiedzieć. A on pobiegł jak łania i przy każdym kroku uderzał się nogą o ostre kamienie, raniły mu one stopy i bolaerzao go to bardzo.

— Skąd się wzięły te ostre kamienie? Leżą tu jak zwiędłe liście na ziemi!

— To są te wszystkie nierozważne słowa, które rzucałeś i które raniły serca o wiele bardziej, niż te kamienie ranią twoje nogi!

— Nie myślałam o tym – powiedziała dusza.

— Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni – rozbrzmiało w powietrzu.

— Wszyscyśmy grzeszyli – powiedziała dusza i podniosła się znowu.

— Trzymałam się zasad Ewangelii i prawa, robiłam, co mogłam. Nie jestem taka, jak inni!

I oto stali przed bramą niebieską i Anioł Odźwierny zapytał:

— Kim jesteś? Powiedz mi, jakiej jesteś wiary i jakich do- konałeś czynów?

— Wypełniałam surowo wszystkie przykazania. Byłam pokorna przed oczami świata. Nienawidziłam zła i złych, prześladowałam wszystkich, którzy kroczyli szeroką drogą ku wiecznemu potępieniu. I jeszcze teraz, jeżeli zaszłaby potrzeba, pragnę walczyć ogniem i mieczem!

— Jesteś więc jednym z wyznawców Mahometa? – spytał anioł.

— Ja? Nie, nigdy!

— „Kto wojuje mieczem, ten od miecza ginie”, powiedział Syn Boży. Nie wyznajesz jego wiary. Może jesteś synem Izraela, który mówi za Mojżeszem: „Oka za oko, ząb za ząb”? Synem Izraela, którego groźny Bóg jest jedynym Bogiem tego narodu.

— Jestem chrześcijaninem!

— Nie poznaję tego po twojej wierze i po twoich czynach. Nauka Chrystusa jest pojednaniem, miłością i łaską!

— Łaską! – rozbrzmiało po nieskończeniu wielkiej przestrzeni i otworzyła się brama niebios, i dusza poszybowała ku szczęśliwości. Ale światło, które promieniowało stamtąd, było tak oślepiające i przenikliwe, że dusza cofnęła się, jak przed wyciągniętym mieczem. Rozbrzmiały tony tak łagodne, tak chwytające za serce, że żaden ziemski język nie może tego wyrazić. Dusza zadrżała i pochyliła się nisko, coraz niżej, ale wówczas niebiańska jasność wtargnęła w nią i poczuła to, czego nigdy przedtem nie czuła – ciężar swej dumy, swej zatwardziałości i grzechu.

— To, co robiłam dobrego w życiu, robiłam dlatego, że inaczej nie mogłam, ale zło było we mnie!

Dusza czuła się oślepiona czystym, niebiańskim światłem. Upadała bezsilna. Wydawało jej się, że zwinęła się w kłębek, niedojrzała dla niebieskich bogactw, nie śmiała zwrócić swych myśli do sprawiedliwego Boga jękając:

— Łaski!

I oto zjawiała się łaska, nieoczekiwana łaska.

Bóg niebios był w całej nieskończenie wielkiej przestrzeni, miłość Boga przeniknęła ją w niewyczerpanej pełni.

— Duszo ludzka, bądź święta, cudna, pełna miłości i wieczna! – brzmiały i śpiewały głosy niewidzialne dookoła.

My wszyscy będziemy w ostatnim dniu naszego ziemskiego życia drżeli tak, jak ta dusza przed blaskiem i cudownością Nieba. Będziemy głęboko upokorzeni, pokornie zginali się mimo to będzie nas unosiła jego miłość, jego łaska będzie nas wyprostowywała. Wzniesieni na nowe tory, oczyszczeni, szlachetniejsi, lepsi, będziemy się zbliżali coraz bardziej do cudowności światła i pokrzepieni przez nie, wzniesiemy się do wiecznej jasności.